BEZPŁATNY DODATEK



ŻAGARY



MIESIĘCZNIK IDĄCEGO WILNA POŚWIĘCONY SZTUCE

Październik 1931

Numer 4

Bezpośrednio przed nami

I) LINJA WPISANA W KOŁO

Myśl nowatorską w literaturze polskiej reprezentuje samorzutnie do r. 1927 „Zwrotnica". Obecnie w maju r. b. podejmuje ją Nr. 1 czasopisma „Linja"" (następne nie ukazały się dotąd). Jeżeli nie z futuryzmem, to w każdym razie z faszyzmem włoskim ruch ten ma wiele analogji. Jest to tworzenie nowych doskonałych form organizacyjnych, pozbawione jednocześnie głębszego usprawiedliwienia twórczego, substratu materjalnego.

„Zwrotnica" wkroczyła na arenę pod hasłem unowocześnienia sztuki, tj. przystosowania jej do rytmu współczesnego życia. Rehabilitacja miasta, maszyny i zbiorowości, jako inspiracyj artystycznych, zerwanie z patetyczną, nieuleczalną psychozą prostoty, wprowadzenie do literatury postulatów ładu i konstrukcji przeobrażenie dotychczasowych poglądów na formy artystyczne pod kątem widzenia współczesności — oto istotne, poważne zdobycze teoretyczne tej grupy. Powtarzam, teoretyczne, gdyż z realizacją tych postulatów w literaturze pięknej jest nieco gorzej. Widocznie okrzyczany talent jest jednak w pewnym stopniu potrzebny. Artykuły teoretyczne Peipera są małemi arcydziełami literatury pięknej. Ale to nie wystarcza.

Radjo, kino, telefon, auto, aeroplan — to czynniki, które nadają piętno współczesności. Zaryły się one tak głęboko w grunt, wywołały tak daleko idące wyrwy w psychice, że literatura musi pośpieszyć, aby za niemi nadążyć. „Zwrotnica", a za nią i „Linja" zawahała się przed ostatnim, decydującym etapem. Peiper: „Nie prawa maszynowej produkcji poddadzą rytm poecie, lecz prawa współczesnej konsumpcji". To ubóstwienie konsumpcji, lęk przed wtargnięciem w najbardziej typową dla współczesnego lub idącego świata dziedzinę produkcji, stanowi niewybaczalne załamanie się.

W rezultacie wyczucie współczesności w grupie „Zwrotnicy" i „Linji"" sprowadza się do jej naskórka. Puls stara się uchwycić przez łechtanie. Bo przecież nawet formy, uważane za najwyższy stopień spożycia, stanowią jedynie refleks i funkcję pracy wytwórczej. Telefon, radjo, auto nie dlatego są tak istotne dla oblicza „dzisiaj", że uprzyjemniają życie, ale ponieważ podnoszą zdolność produkcyjną jednostki i tem samem dają jej wyższą kwalifikację w życiu zbiorowości. Krew współczesności pulsuje w żyłach warsztatów pracy. Jednostka zyskuje sobie imię i uznanie egzystencji dzięki włożeniu własnego wysiłku w wysiłek zbiorowy. Człowiek wyraża się w swoim zawodzie. Dziś już do określenia indywiduum wymagane są trzy etykiety: imię, nazwisko i zawód. Zawód stał się trzecim tytułem człowieka. Peiper cofa się przed nieistotnym zarzutem. Peiper usprawiedliwia się. Skąd poeta może czerpać inspiracje: zawodowy poeta, piszący wiersze i przechadzający się po tętniącej ulicy. Dlaczego właśnie ma oddawać rytm nowoczesnej produkcji, której nie zna, nie widział i o której nie chce słyszeć? Ale produkcja jest już nietylko własnością jednostek, biorących w niej bezpośrednio udział. Całe społeczeństwo popełnia jedno wielkie misterjum pracy — misterjum, w którem są kapłani i lud i pozorni kibice, istotnie bowiem i oni spełniają ważną i celową funkcję. Stojące na wysokości zadania poetyckie wsłuchanie się w rzeczywistość wystarczy.

Idea ładu i konstrukcji, której sformułowanie stanowi istotną i ważną zdobycz grupy, również nie została przeprowadzona konsekwentnie. W tej stajni Augjasza, którą stanowiła literatura po-modernistyczna, każdy impulsywny odruch wymiatania i porządkowania był dobry. Ale już w następnym etapie sprzątania, kiedy rozpłynie się piana na ustach, przychodzi moment zastanowienia się. Ład? dobrze, ale pod rządem jakiej idei kształtującej? Ład sam w sobie, porządek, podniesiony do godności absolutu, nie istnieje. Piękne marzenie Witkiewicza o takiej konstrukcji formalnej, w której nic nie dałoby się zmienić, ani wyrzucić, w której każdy element narzucałby się z siłą nieodpartej konieczności —to wyspiarska utopja. Można mówić tylko o względnej konieczności estetycznej, t.j. najlepszym, najpełniejszym środku ekspresji.

I tutaj, jak z każdego kąta literatury, uśmiecha się odwieczna kobyła ciężarna źrebakami treści i formy. Ale nawet sam Peiper, odpowiadając kamedułom sztuki, przytoczył jako argument właściwą człowiekowi metodę „dlaczegowania"". Immanentnym wymogiem każdej konstrukcji jej jej celowość. Szklane Domy to nie zamki z piasku. Wydaje się dziwne, że ci sami ludzie którzy tak dobrze zrozumieli i zastosowali zasadę celowości w stosunku do wyboru, rozkładu i zużycia materjału, nie potrafili jej przeprowadzić na szerszym planie. Może mała metafora, wiatrak Irzykowskiego, zacieśniła ich do jednej grzędy. Ostatecznie gdzieś się trzeba zatrzymać, przyjąć jakąś wartość absolutną. W absolutną wartość strukturalną nie wierzymy. Nowatorzy zatrzymali się za nisko, za płytko. I dlatego już w praktyce ich sztuka nie ma siły przekonania. Nie stoi za nią głębokie usprawiedliwienie. Poco panowie piszą? Dla zaspokojenia własnej potrzeby? A więc grafomanja? W miejsce katarynarzy i stroskarzy skamandrycznych popołudni wi gramofoniarze i patefoniarze?

Wszystko to jest potrzebne do zrozumienia, czy „Linja" reprezentuje istotnie myśl nową, czy też zajmie się tylko odgrzewaniem starych kawałków, dawno nagranych przez „Zwrotnicę". Wiemy, że p.p. Jalu Kurek i Juljan Przyboś żyją i rozwijają się. Ale p.p. Jalu Kurek i Juljan Przyboś to jeszcze nie myśl nowatorska. Mocni w negacji, w potępieniu Skamandra, w odbrązowieniu Boya z legendy(hodujemy jednak o Boyu lepszą plot kę w zanadrzu), są bladzi i słabi w nowych rzeczach pozytywnych. Numer „Linji"" zamyka notatka Jana Brzękowskiego z „L'Art Contemuorain" p. t. „Nic nowego na zachodzie". Czytamy: „Po gorączkowej dobie szukania nowości i kultu dla niej, wynikłego z chęci przeciwstawienia się panującej jeszcze „dawności" — weszliśmy w dobę ustalania się pracy"". „Możemy dziś już mówić o osiąganiu pewnego poziomu ogólnego wszystkim artystom wspólnego poziomu nowych wartości, o „standaryzowaniu"" nowej sztuki. Jutro — o jej akademizmie". Przyjemnej drzemki. Śladem „Skamandra"" i „Wiadomości Literackich". Przyjemnego żywota z renty od kapitału „Zwrotnicy". Istotnie, „Zwrotnica" przełączyła tory literatury polskiej. Sygnalizujemy ślepy tor. Linja poprzeczna, a nie kierunkowa. Zamknięcie bilansu. Ostatecznie linja wpisana w koło, w błędne koło schyłkowej współczesności, psa, niemogącego dościągnąć własnego ogona.

Stefan Jędrychowski.

TEODOR BUJNICKI

PLAKAT

ŚWIAT RÓŻOWYCH KAMIENIC O SZEROKICH OKNACH,
WYSOKIE HALE FABRYCZNE, KOŁA W POTOKACH TRANSMISYJ,
RAMIONA DŹWIGÓW NAD GDYNIĄ SYPIĄCE WĘGIEL NA POKŁAD,
MOSTY ROZPIĘTE SZEROKO NA BUGU, NIEMNIE I WIŚLE,
MŁOCKARNIE SAPIĄCE DYMEM NA OSUSZONEM POLESIU,
PĘD SAMOCHODÓW PO SZOSACH BIEGNĄCYCH NAPRZEŁAJ PRZEZ JESIEŃ.

STO TYSIĘCY DNI ROBOCZYCH STOPIONYCH W KILOMETRY RÓWNOLEGŁYCH
[SZYN.

BUDUJEMY POLSKĘ MOZOLNIE, ZBUDUJEMY OJCZYZNĘ SZKLANYCH DOMÓW,
SŁOWAMI POETÓW I DŁONIĄ ROBOTNIKÓW I NATCHNIENIEM UWAŻNYCH
[INŻYNIERÓW,

ROZBITKOWIE PORWANYCH PRĄDEM POWODZI PROMÓW
NACIĄGAMY ŁOPOCZĄCE ŻAGLE, PODNOSIMY RADOSNE BANDERY
KAŻDY RUCH NASZYCH RAMION MA STAĆ SIĘ SYNONIMEM WYRAZU CZYN.

U JEZIOR I LASÓW LITWY ZACZERPNIEMY ODDECHU I WIARY,
NIENAWIŚCI DO BŁOTA DRÓG WIEJSKICH, KURNYCH CHAT I ROGATYCH SOCH.
TRAKTORAMI PRZEORZEMY GLEBĘ, BY NABOJE NABRZMIAŁYCH ZIAREN
ŻÓŁTYM PLONEM, ZIELONĄ RUNIĄ WYBUCHAŁY Z WIOSNĄ JAK PROCH.

MARYNARZOM WŁOŻYMY W USTA NAJPIĘKNIEJSZE PIOSENKI RUSKIE,
A GÓRNIKOM DĄBROWY I ŚLĄSKA OKUJEMY SREBREM KILOFY,
BY DŹWIĘCZAŁY JAK DZWONY, DZWONY POTRĄCANE O MIEDZIANE ŁUSKI,
UDERZENIEM KAŻDEM ROZBIJAJĄC W CZARNYM ZNOJU SKLEPIONY SARKOFAG.

NURT DUNAJCÓW TOCZĄCYCH GŁAZY OKIEŁZAMY BETONEM TAM,
BY HUCZAŁY NERWOWE DYNAMA I POD ZIEMIĄ PULSOWAŁY KABLE,
BY KU NIEBU STERCZAŁY KOMINY, JAK DO CIĘCIA WZNIESIONE SZABLE,
JAK POTRZYKROĆ ZWYCIĘSKIE SZCZERBCE SZTURMUJĄCE DO ZŁOTYCH BRAM.

PRZEKUWAMY OBLICZE LEGENDY NA PRAWDZIWE OBLICZE OJCZYZNY,
NASZE SERCA PŁONĄ JAK LONTY — W NASZYCH PIERSIACH DRZEMIE DYNAMIT
STARY ŚWIAT, JAK WRZÓD ROZDUSZONY CZARNĄ ROPĄ ZEPSUTEJ KRWI
[BRYZNĄŁ.

DZIŚ OSTATNIA GODZINA WERBUNKU.
DO SZEREGU!
IDZIECIE Z NAMI!

II) OSTATNIA KWADRA „KWADRYGI"

Słówko „Inflacja" w odniesieniu do współczesnej poezji polskiej, stało się już niemal komunałem; rzucone przez poetów z kilku grup literackich, skwapliwie podchwycone przez publicystów-polityków, nie mających nic wspólnego ze sprawami kultury i literatury, a szukających tylko ilustracyj do swych tez społecznych, stworzyło zgoła fałszywe pojęcie o jakości współczesnej produkcji literackiej.

Nawet poważna krytyka trzyma się mitu o jakiejś złotej erze poezji Polski Niepodległej, umiejscawiając ją w latach rozkwitu Skamandra i przeciwstawiając jej „jałowość" dnia dzisiejszego. Niema nic bardziej fałszywego. Czas nareszcie otwarcie zerwać z legendą „klasycyzmu" Skamandra, i czas też powiedzieć uczciwie, że o Kasprowiczu, Staffie, Tetmajerze mówi się dziś jako o wielkich poetach jedynie przez kurtuazję, że się od nich nie chce już brać **nic absolutnie**, że oficjalna ocena profesorów i „fachowców" literatury nie pokrywa się całkiem sądem nowej, gruntownej poddanej rewizji, opinji.

Umyślnie rzuciłem nazwiska czołowych przedstawicieli „Młodej Polski", tych „wielkich", którzy wciąż są tabu, zarezerwowani jako materjał pod lupy profesorskie, tematy przyszłych wykładów, prac seminaryjnych i przyczynków; o ile jeszcze potrafi nas niekiedy poruszyć i wzruszyć estetycznie, stanowczo za dużo piszący Staff, to jakże trudno uwierzyć zapewnieniom o „wieszczości" Kasprowicza! Sztuczna prostota, nieznośna poza: chłop z pochodzenia, udający chłopa ze sposobu myślenia, a przytem wciąż pragnący dowieść, że jest czemś lepszem.... doprawdy musimy wreszcie otrząsnąć się z sugestji zbiorowej i ponadawać słuszne epitety i nazwiska rzeczom i ludziom

Poetów „Młodej Polski" wiele usprawiedliwia; zły przykład zagranicy, ciasnota rodzinnego podwórka, brak państwowości, który raby mocno wsparła ich ideologję i zbyt odległe tradycje wielkiej poezji ojczystej, stworzonej zresztą przez ludzi o innej psychice, o gorących duszach i sercach. Gorzej się ma sprawa ze „Skamandrem". „Pierwsza Niepodległa" jak nazwał ją w swoim czasie Nowaczyński, grupa „Skamandra" wyruszyła na podbój frontu literatury z tupetem i hałasem. Niby to nauczyła się czegoś od futurystów włoskich, czy rosyjskich. (Czego? chyba hałaśliwości), niby nawiązywała do romantyzmu, przerabiając jego rekwizyty na miarę zapotrzebowań współczesnych („tam gdzie jest księżyc, jest i aeroplan"), coś szeptała o urbanizmie, o hasłach społecznych... Mimo głosów nieufnej krytyki przyjęto skamandrytów życzliwie, zrobiono z nich tak prędko, iż ani się obejrzeli — klasyków, kandydatów do synekur i akademij. A przecież dorobek ich z owych czasów jest przeraźliwie słaby, pensjonarski. Dzisiaj dopiero talenty czołowych skamandrzan są w dostatecznym stopniu dojrzałe i zasługują na uwagę (Iwaszkiewicz, Słonimski, nawet czasami Tuwim) — ale już się ich nie bierze na serjo, pamiętając o nieudolnościach wieku młodzieńczego.

Tak też i przejdą biedacy do literatury, skwapliwie zasuszeni przez uczonych docentów: Wierzyński z „Wiosny i Wina" w krótkich spodenkach, zachłyśnięty naiwnym zachwytem, sentymentalny Tuwim (pomarańcze i mandarynki!), anarchista Słonimski z „Czarnej Wiosny" i Dionizos — Iwaszkiewicz; powie się o nich „stworzyli", „wnieśli", a zapomni się dodać, że byli też **potem** świetnymi poetami.

Od „Skamandra" nauczyła się Kwadryga poprawnego technicznie pisania wierszy, bez troskliwego eklektyzmu i umiejętności godzenia surowego programu społecznego z literackiem estetyzowaniem na dowolne tematy. Nie odrazu tak było. Pierwsi „kwadryżanie" zatoczyli swe wozy wojenne ładowne rynsztunkiem proletarjackich haseł, rzucili na rynek poetycki wiersze o wojnie, czarnych Beatryczach, marsyljankach i robotnikach. Było więc wszystko w porządku, w zgodzie z „programem". Znowu powtórzyła się historja „Skamandra". Poeci „Kwadrygi" poszli dalej w poszukiwaniu nowych, ciekawszych i lepszych form, zaś krytyka absolutnie już tem się nie interesując, wkleiła do albumu oficjalnej systematyki etykietkę: „Kwadryga, grupa poetów społecznych, dąży do.... i t,d, i t,d," Poeci społeczni z godnością przyjęli do wiadomości etykietkę i pozostawili jej tekst na swych biletach wizytowych. W praktyce jednak dawno już się pożegnali z programem, którego ciężar przygniatał gliniane nóżki formy. Epigoni „Skamandra" podzielili z nim jego chorobę kośćca, jego garb ideowy, który szpeci każdą konstrukcję, złośliwie deformuje najpiękniej uszyte szaty. Zresztą, zdają oni z tego sobie sprawę; dowodem mo że służyć ostatni numer (1 — 3. 1931 r.) „Kwadrygi", naogół stojący na wysokim poziomie i przemilczający starannie grzechy młodości — proletarjackie hasła i rymowane agitacje. Nawet w notach i przypiskach nie odnajdujemy śladu jakiejś oficjalnej ideologji grupy. Nie należy z tego czynić zarzutu „Kwadrydze", której wielką zasługą już jest, że ma w swojem gronie takich autorów, jak Czechowicz, Gałczyński, Flukowski (ale poco Ciesielczuk, Słobodnik?), Lecz należy sygnalizować białą chorągiew na murach jej ideologji: grupy „Kwadrygi" — mniejsza o to, czy z „nowidowskim", czy „proletarjackim" programem — już niema; jest nowe pokolenie poetów, wśród nich kilku nawet bardzo obiecujących, drukujących się w piśmie „Kwadryga". Czas wreszcie nauczyć się, choćby na przykładzie ciągłych bankructw próbek wtłaczania „ideowej" treści przemocą w wiersze, i siła poezji leży w płaszczyźnie dobrej formy i konstrukcji, a prawdziwe realizowanie ideologji nie polega na rymowaniu haseł i naturalistycznych obrazków.

Nie chcemy „Kościoła bez Boga", kładziemy nacisk na posiadanie przez poetę mocnego pionu ideowego, ale nie możemy się zgodzić na liche stiuki i złocenia świątyni, imitujące marmur i kruszce: to jest świętokradztwo.

To też witamy z zadowoleniem zmierzch tendencyj nieliterackich, najbardziej dziś modnej i reklamowanej grupy literackiej; księży „Kwadrygi" świeci dziś w ostatniej kwadrze. Nowe pokolenie poetów, które nadchodzi i które nie wierzy w „inflację" poezji (ostatecz nie zawsze byli grafomani i autorzy nędznej makulatury), opiera swoje credo literackie na mocnej i surowej architekturze fundamentów dformy.

Teodor Bujnicki.



Roman Jakimowicz — Narodzenie

CZESŁAW MIŁOSZ

4 WYMIARY

PRZEPŁYNĄWSZY AKWARJUM ŚWIATA
KONSPIRATORZY
DOTKNĘLI PYSZCZKAMI SZYBY HORYZONTU.
ABY POSIĄŚĆ LIRY UKRYTE ZA NIĄ
KRĄŻYLI, PRZYKŁADAJĄC NIEGOLONE BRODY
NAWPROST NIERUCHOMEGO KSIĘŻYCA.
ZMĘCZENI WYPŁYNĘLI W GÓRĘ.
NAWZNAK.
DŁUGIE NOSY CZERPAŁY TLEN RELIGJI.
OŁOWIANA POWIERZCHNIA NIE MARSZCZYŁA SIĘ
WCALE.

NA ICH PLECACH JASKÓŁKI ULEPIŁY GNIAZDA
I WYLATYWAŁY CODZIEŃ O ŚWICIE WDÓŁ, BY GNAĆ
ZA WYSMUKŁYM TRAMWAJEM.
ODYSSEJA DOBIEGAŁA KOŃCA.

JALU KUREK

D w i e p o w i e ś c i c z o ł o w e g o p r z e d s t a w i c i e l a a w a n g a r d y k r a k o w s k i e j — „Andrzej Panik", który doczekał się już drugiego wydania i „S.O.S." „Panik" — to powieść, oglądana przez drugi koniec lunety — mieści się na 46 stronach, starając się zachować właściwości re-dzaju.

Kurek dąży do skonstruowania fragmentów swego współżycia z wyimaginowanym bohaterem w myśl zasad nowej konstrukcji utworu i programowej estetyki. Jednakże w przedmowie obiecał znacznie więcej, a wkładka „sensacyjna" o zamordowaniu Amundsena nie uzasadnia się żadną koniecznością i dezorjentuje czytelnika. Dlatego też — z konieczności zatrzymujemy się na lirycznych dygresjach o Krakowie, które pięknem i siłą wyrazu świadczą o nieskrywanej zresztą pasji autora.

„S.O.S." świadczy o nowych zdobyczach. Język zyskał na prostocie i skuteczności. Styl wskazuje opanowanie materjału fabularnego. Mimo, że ta powieść o zagładzie „przeklętego pokolenia" i odrodzeniu się przyszłem nowego świata ogląda się często w stronę „Trustu D. E.", to jednak Kurek bije Erenburga celową i konsekwentną konstrukcją. Naganka rozstawionych fragmentów zapędza wkońcu czytelnika w sieć konkluzji autora o konieczności miłości i pracy. Konkluzję tę wbija sam Kurek w łeb dość bezceremonjalnie, ale też skończywszy lekturę, sarkamy na dwugodzinną „racjonalną organizację" naszego intelektu i wyobraźni.

Ś p i e w y o R z e c z y p o s p o l i t e j.. Tomik wierszy o wszystkiem. Wybory prezydenta, radjo, pożyczka amerykańska, sprowadzenie zwłok Słowackiego i t. p. Budowanym, obmyślanym (niezawsze wystarczająco!) językiem, który czasem się łamie w wysiłku, głoszą te wiersze patos nowoczesności. Kurek jest jej heroldem, ale chciałby słowa swe przepoić radością i bólem czującego człowieka. „Śpiewy" świadczą jednak, że nie doścignęliśmy rozwojem kultury zdobyczy cywilizacji, że nie panujemy nad niemi inaczej, jak tylko z e w n ę t r z n i e. Dziś najlepszym jeszcze poetą radja czy samolotu jest jego konstruktor. Jalu Kurek, załamując się w porywie, by sercem podłożyć żelbetony współczesności jest p o e t ą d o b r e j w o l i.. Najlepsze wiersze — Św. Joanna d'Arc i Pochwała nart i śniegu — „stare".

Józef Maśliński.

ANKIETA, ZANAINICJOWANA W UBIEGŁYM NUMERZE „ŻAGARÓW" ARTYK. H DEMBIŃSKIEGO „DEFILADA UMARŁYCH BOGÓW" WYWOŁAŁA STOSUNKOWO ZNACZNE ZAINTERESOWANIE I DOPŁYW SZEREGU CENNYCH UWAG I POLEMIK. BRAK MIEJSCA NIE POZWOLI NAM NA UMIESZCZENIE ICH IN EXTENSO, TO TEŻ W NASĘPNYM NUMERZE PODAMY JE W OBSZERNEM STRESZCZENIU W ARTYKULE ZBIOROWYM REDAKCJI P.T. „CO DALEJ", JEDNOCZEŚNIE ZAWIERAJĄCYM POZYTYWNE ROZWINIĘCIE TEZ „DEFILADY".

STEFAN JĘDRYCHOWSKI.

Walizka w pokrowcu

Czarno – biała rzeczywistość wstającego dnia. Rzeczywistość kalendarzowej kartki. Oczy, uczepione do sufitu, wysysają ze szpar popielate mleko kurzu. Czaszka zapada w głąb na samo dno poduszki, puch oblepia pole widzenia ckliwym i miękkim uściskiem. Tułów poety, tułów błazna, tekturowy tułów pajaca podnosi się nauczonemi w dzieciństwie ruchami, mechanicznie odrabia poranną pańszczyznę.

Tułów zdąża szybkiemi, drobnemi kroczkami nieubłaganą koleiną. Wyszczerzają się odrapane ściany płotów. Oczy biegną truchtem po błocie, oglądając się raz po raz na właściciela. Słychać z tyłu łoskot — przenika do miękkiej świadomości niespodziewanem ukłóciem. Tułów uskakuje z drogi w obawie przed zachlapaniem szarego palta. Ale to nic. Nie samochód. Biegnie z całym majestatem chrzęstu zziajana spóźniona czaszka. Szybko oddycha przy pomocy fijoletowego języka. Krótki, nieuniknionу przystanek. Malutki montaż. Poeta idzie do miasta drobnemi, zapatrzonemi w siebie krokami.

Nie trzeba używać planu. Nie pytać policjanta. Nie wymieniać nazw. Długie znane ulice wyznaczają stałą linję. Życie moje jest jak tramwaj, puszczone w ruch po szynach. Tramwaj jest jak gąsienica. Jestem — człowiek, który nie może wysiąść z tramwaju. Po długich, pustych ulicach odbywam wciąż te same kursy, zapatrzony w trupiarnię much, urządzoną na szybie. Dom — mecenas, mecenas — obiad, obiad — mecenas, mecenas — dom. Tramwaj — gąsienica zatrzymuje się na przystankach, aby szczypać zielone listki z oskubanych drzew. Na przystankach nie mogę wysiąść — jest tłok. Przystanki noszą trywjalne imiona. Na platformach rozpychają się ludzie, którzy żyją. A ja — ja jeżdżę tramwajem, pękatym, jak gąsienica, po szarych, nadużytych szynach. Może katastrofa?

AKTA. Śmieszne, niebieskie okładki z białemi naklejkami. Jedne do drugich podobne. Uśmiechający się murzyni. Palce biegają po klawjaturze maszyny. Łoskot wyznacza rytm, — stały, miarowy, natrętny. Cisną się ordynarne akcenty do mózgu. Lancety chciwe operacji. Biurko jest zarzucone papierami. Papiery zarzucone kalkami. Kalki zarzucone mnóstwem powikłań obcych i skomplikowanych ludzi innej rasy. Ręce poety, obnażone po łokcie, nurzają się w lepkiem cieście spraw. Rodzynki z atramentu. Dzwonek. To nie depesza. Nikt nie idze. Nic się nie zmienia. To samoczynny dzwonek maszyny do pisania. Znów turkot maszyny. tłum odrapanych liter — kościstych wiedźm. PAPIERY. Jeszcze jedno podanie. Dwa listy. Kilka rachunków honorarjum. Dzwoni. Maszyna? Nawet nie: samoczynny dzwonek lewego ucha. Czerwone płatki w oczach. Czaszka pęka. KRA idzie. Tłum ordynarnych spraw. Obcy tłum, pachnący onuczami. Rewolucja. Jest! zdławiona. Poeta biegle pisze na maszynie. Jest cichy, spokojny, uprzejmy, pracowity. Szelest w sąsiednim pokoju. Tak! Pani domu. Oczywiście. Fortepian, książki, kwiaty. Abażur ocienia lampę słodkim zapachem pomarańczy. Mecenasowa czeka. W dzień czeka nocy. Nocą czeka dnia. Mecenas jest rozczochrany i jeździ całemi latami. Mecenasowa czeka lata. Życie spakowane w gładkiej, skórzanej walizce. Walizka osłonięta pokrowcem. Mecenas jest zadowolony. Szeroko uśmiecha się do przyjaciół. PEŁNIA — czy wiecie, co to jest? Mecenas nie wierzy w zaćmienie księżyca. Bajeczki astronomów. Astronomów i poetów stawia się na jednej półce. Rozdyma się tam jeszcze maszynka z flitem. Maszynka rozpyla ostry zapach. Mecenasowa rozpyla szorstki, kłujący szelest. Sekretarz ma także czaszkę. Szelest kłuje sekretarza w czaszkę. Czaszka sekretarza? Dyktator gabinetu? Kto tu jeszcze? Ach, tak, mecenasowa ,przepraszam. Oczywiście w gabinecie stoją kwiaty. Mają żółte końce palców. Trzeba obcinać paznokcie kwiatom. Wszystko musi być do końca dociągnięte, wytworne i gustowne. Mecenasowa jest ubrana w brunatno-kremową suknię. Sekretarz szuka wśród papierów gumki. Jest. Z pasją wyciera niepotrzebny wyraz. OSTROŻNIE! Dziura prześwieca przez papier. Sekretarz jest przecież sekretarzem. Pisze wiersze? Wiersze to jeszcze nie bilet Najwyżej różowa peronówka.

Poco są na świecie kobiety? Snują się tylko tu i tam. Wysiadają, wsiadają i sieją niepokój. Ocierają się o ludzi pracy i puszczają z ludźmi pieniędzy. I przez ramię ludzi pieniędzy zaglądają w głębokie oczy ludziom pracy Czego chcą? czem są? Litery alfabetu? Z nich układać wzniosły poemat życia? Być tresowanym psem. W zębach nosić? Sygnał. Nie włazić na linję. Alarm. Z toru! Czego pchasz się na szyny do kolorowej cholery? Nie widzisz — tu jedzie mój tramwaj. Możecie sobie jeździć lśniącemi, politurowanemi chrabąszczami, autobusy aż huczą z radości od kobiet w brzuchu. A my mamy bóle porodowe. Dość tego. Nie wlazić na linję!.

PRZYSTANKI. Tam jednak coś jest. Czy może być inaczej? Wysiąść. Są — knajpy. Dziesięć knajp. Wszystko jedno. Ludzie zaaferowani przywiązują do tego wagę. Kłócą się o słowo. Piszą na miękkich bibułkach symbole—imiona knajp. W pocie czoła podliczają. Tu? tam? Zmienić wynik głosowania. Wszędzie im źle. Są interesujący, są niezwykli. Przerastają własne indywidualności. Rozkoszują się sałatką życia. Są młodzi. Klną, ale piją. Poco piszą, skoro są silni? Potem wiodą poetę na stronę, prowadzą ciemnemi ulicami i wtłaczają zdania gorzkie jak migdały. Każą łykać kluski, przysmażane na sztucznem maśle. Mówią, że jest zapędzony w róg, wdepnął w niesamowitą jajecznicę, że tkw. w literaturze, że to do niczego. W napadach wściekliny rozszarpują zasadnicze podejścia. Nazywają go świdrem, twierdząc, że wierci dziurę w brzuchu. Za jedno ogólniejsze pytanie. Kto ma rację?. Boże, jeżeli jeszcze we mnie wierzysz, ześlij znak.

. . . .

Niezmiernie długie są ulice, prowadzące za miasto. Czarne są opłotki. Tęsknota do wiosny przez duże W jeździ po nich zgrzytliwym gwoździem. Gdyby choć cień zapachu akacji. Wierci w nozdrzach ,rozsadza czaszkę, rozpyla atomy człowieka we wspaniałe ociężałem powietrzu. A tu trzeba żyć Klapa bezpieczeństwa jest miękka i podatna. Uchyla się w momentach napięcia, doskakuje w chwilach folgi. Na nic. Bębnić palcami po płocie, powtarzając zasadnicze pytania. Tak — nie. Mam — nie mam. Jestem wielki—wyglądam, jak ogromne nadęte zero. To dziwne, że Hamlet nie jest komedją. Nieznane ręce bawią się mną, jak piłką. Kursować między antypodami? Znów tramwaj. Pluskwa ukryta w kierownicy. Intensywność wymierzona hałasem kół, przewalających się po szynach. Żeby chociaż akacje. A tak? Jedna nadłamana sztacheta.

Schody, prowadzące do mecenasa, są oplute. Poeta nie bawi się w segregację plwocin. Gdzie suchoty, gdzie brak kultury? Może suchoty są właśnie brakiem kultury? Arkusze żółtego papieru są splugawione czarnym atramentem. Czy kultura wyszczerza się z błękitnych okładek? Obudzić w sobie maszynę, miażdżącą gałgany życia ostrem trybami szczęk, przerobić cały zgiełk

JERZY ZAGÓRSKI

FILOZOFJA

WŚRÓD LASÓW CZARNOZIELONYCH POD SREBRNIE ZA-
[STYGŁĄ ROSĄ
TAK SAMO Z BOGIEM NIEZMIERNYM, JAK Z CHWA-
[STEM NAJLICHSZYM MÓWIĄC
ROZPIĘCI NA KRZYŻACH SMUTKU SKRZYDŁACH CHMUR-
[NEGO PATOSU
MIŁOŚCIĄ ŚWIAT CHCEMY OBJĄĆ, JAK ZIEMIĘ OPINA
[RÓWNIK.

LECZ ŚWIAT ZANADTO NAS PRZERÓSŁ. WIZJE SIĘ NA-
[SZE DZIWACZĄ
SERCA POKRYTE SUKNEM Z DZWONÓW DOBĘDĄ PÓŁ-
[TON.
PRĘTY STALOWE WIERSZY SZARPIĄC W BEZPŁODNEJ
[ROZPACZY
JESTEŚMY JAKO WIEWIÓRKI PO KLATCE SKACZĄCE W
[KÓŁKO.

TU, GDZIE MY DZISIAJ GNIJEMY, KIEDYŚ WYROSNĄ
[KŁOSY
I LUDZIE OD NAS MOCNIEJSI BĘDĄ RAZOWCE ŻARLI.
POD PĘDEM ORANGUTANGÓW PRYSNĄ BARJERY
[ARJÓW
Z MAP ZETRĄ MOST DO WALHALLI, NIRWANĘ, RAJ I
[NIEBIOSA

TAKICH NAS WIEŚCI UCZĄ ODGŁOSY IDĄCYCH MAR-
[SZÓW
RÓWNIE NAM OBCYCH I WROGICH, JAK DNIA WCZO-
[RAJSZEGO DOSYT.
DLATEGO WIERSZE PISZEMY, CHOĆ WIERSZE NAM NIE
[WYSTARCZĄ,
CHŁODNA JEST NASZA MOWA. KWITNIEMY PRZYDROŻ-
[NE OSTY.

UCZMY SIĘ LOTU JASKÓŁEK, MĄDROŚCI KLONÓW I
[BRZÓZ,
MYŚLI BŁĘKITNYCH JAK CHABRY, SNÓW ZIELONKA-
[WYCH, JAK TRAWY.
CZAS IDZIE CICHO NAD NAMI, KREW W ŻYŁACH ŚCINA
[JAK MRÓZ.
PRZYRODA MORALNOŚĆ MARTWĄ PRZYKRYWA ŚNIE-
[GIEM BIAŁAWYM.



Roman Jakimowicz Drzeworyt

i dotkliwy niepokój na miękką, popielatą papkę. Połknąć i strawić wszystko, co wydaje się groźne. Zjeść świat i być panem, burżujem, zwierzęciem. Nie dziwić się już więcej i nie dręczyć. Drzemać na ruinach przykrego piękna. Poeta usiłuje obudzić w sobie maszynę. Powtarza cicho, uparcie, z nielitościwą mocą zaklęcie. Słowo wyrażające ekstrakt stosunku do świata, ostateczną, finalną funkcję maszyny. Za chwilę skończy z galaretą bezsensownych szarpań, stanie się na pewnym, mocnym szczeblu. Ekstaza osiągniętego symbolu zatapia poetę do szczytu kapelusza. Gwałtowne, szorstkie targnięcie. Mecenasowa rzuca ironicznie zjadliwą uwagę. Już jej niema. Djabli nadali znaczenie słów. Djabli stworzyli konwencję słów nieprzyzwoitych. Ale schody są znów oplute. Do mecenasa dzwoni się dwa razy z rzędu.

Jedenastego marca o godzinie dziesiątej rano poetę trafił szlag. Nie znaczy to, żeby wyzionął ducha. Przeciwnie, zupełnie trzeźwo przeczytał list drugi raz odpisał na maszynie, popełniając nie mniejszą, niż zwykle, ilość błędów ortograficznych. W tonie szyderczo-skromnym zawiadomił przyjaciół. Odprowadzili go na dworzec, trzymając w fałdach podbródków pełną goryczy radość. W turkocie pociągu słyszał szum rozłożystych skrzydeł. Po sławę, po pieniądze, po klucz. Nie potrzebował walczyć. Wiedział. Powiedziano mu. Kto? Ktoś inny.

Poeta znów jest tu. Dlaczego? Oczywiście nie zrozumieją tego manjacy wielkich ról, wodzący zatłuszczonemi palcami po uśmiechniętej mapie świata. Co lepiej? Być włamywaczem na wielkim transatlantyckim parowcu, czy konduktorem autobusów w żywcem pogrzebanem miasteczku?. Znów nizać zielone listki akacji na sznurek nieustannie niespokojnego intelektu? Czy uganiać się za białem, opitem próżnią widmem rozsiadającem się nieuchwytnie na nieodkrytych jeszcze terenach? Dawni przyjaciele pokazywali go sobie łokciami. Miał zawsze mozajkę w czaszce. Szkoda — zmarnował się. Mógłby... Co mógłby — nie wiedzieli sami. Czekali na Mesjasza w cukierniach, płonąc niewygasłą, oliwną gotowością. Czekali pilnie i nieustannie, sypiając po dwie godziny na dobę. Poeta jeździł brzęczącemi autobusami (miasto nie doczekało się jeszcze tramwajów) i wydawał różowe, zielone i białe, zadrukowane czystym bezsensem bilety. Czy czekał także? Wątpliwe. Pisywał czasami wiersze, pełne czaru i szału, duszy i przedwojennych rymów. Nie rozróżniał, wcale nie chciał rozróżniać. A schody, prowadzące do mecenasa, były wiecznie oplute. Mecenasowa schowała życie w skórzanej, osłoniętej pokrowcem walizce. Cały świat był przybłąkaną walizką, czekającą na pasażera, w którego nikt nie wierzył. Nie podobna było otworzyć zamka od wewnątrz. Ludzie, którzy łudzili się, że mają jeszcze kościec, byli w szalonym błędzie. Cierpieli na rozmiękczenie kręgosłupa. Potwornie karykaturalne były ich wysiłki chodzenia w wyprostowanej postawie. Ale we wnętrzu autobusu było dobrze i miękko. Przyjemnie było zapadać się w wyboje, nie wiedząc, że to ziemia toczy się w przepaść.

ROGATE SERCE

Jesteśmy świadkami nowego krzykliwego ruchu artystycznego, pretendującego do zamachu stanu i przewrotu w kulturze polskiej. Wychodzi w Krakowie pismo „Krak", „narzędzie walki o wyzwolenie i przerodzenie się polskiej kultury", organ Szczepu Szukalszczyków, herbu „Rogate serce". W praktycznej pracy artystycznej Szczep opiera się o t. zw. Twórcownię Szukalskiego. Zorganizował wystawy w Krakowie, Katowicach i Poznaniu, a ostatnio w warszawskiej „Zachęcie".

Geneza ruchu jest bardzo prosta. Powstał w walce z krakowską Akademją, ruty nowanemi metodami nauczania i całą utytułowaną miernotą. Szukalski zebrał dokoła siebie t.z. ogryzki, ludzi, z których Akademja nie potrafiłaby nic zrobić i występuje ze śmiałą (nieco ryzykowną) tezą, że z każdego krępego krótkogłowca potrafi zrobić prawdziwego artystę. Ma to być cios zadany dotychczasowemu systemowi wychowania artystycznego, przygotowującemu ludzi, niezdolnych do żadnego poważnego wysiłku, umiejących malować jedynie liche akty i martwe natury, niezespolonych z całokształtem prężności twórczej społeczeństwa. Akademja, podobnie jak zresztą w znacznej mierze humanistyczne wydziały uniwersytetów, produkuje t. zw. „inteligentów" czyli ludzi-zera. Szukalski domaga się wychowania nowego pokolenia ludzi świadomego czynu, posuwającego naprzód wszystkie dziedziny sztuki.

Jak to robi? Czy mu się udaje? Nie jestem kompetentny do oceny fachowej. Oceniam ruch, a nie twórczość. Jednak: Szukalski jest artystą potężnym. Jego prace stanowią dużą zdobycz formalną, przemawiają konstrukcją i siłą wyrazu. Styl Szukalskiego wyłazi z wszystkich prac jego uczniów. Wystawa Szczepu to sala lustrzana. Ze wszystkich ścian spogląda Szukalski, Szukalski, Szukalski, Szukalski. Dowodzi to wyjątkowej jednolitości kollektywu artystycznego, ale zarazem nadwerężą jego rację bytu. Racją istnienia kollektywu może być tylko stworzenie jednostce najlepszych warunków pracy, aby mogła wnieść własną postawę do zbiorowej produkcji artystycznej. Tam, gdzie członkowie biorą wszystko, nie wzbogacając sami zbiorowości, kollektyw zaczyna przybierać wszystkie cechy kooperatywy spożywców, a nie zespołu pracy. Zastrzeżenie: może to tylko początek, linja pozioma, z której wyjdzie szereg równoległych pionowych.

Przy dużych wartościach formalnych razi w pracach Szukalszczyków uganianie się za tanią tematycznością. Wszystko jedno, czy obraz nazywa się „Bolesław Śmiały", czy „Władysław Łokietek". Słowo nie jest narzędziem plastyki. Jeżeli artysta konstrukcją formalną potrafi pobudzić widza do wysiłku, dać mu czynną emocję estetyczną — spełni swą funkcję lepiej, niż przez mistyfikowanie partjotycznym frazesem. Bohaterski temat nie uratuje miernoty, a dobre dzieło obejdzie się bez niego. Ta agresywność w obcą dziedzinę słowa podrywa grunt pod Szukalskim i sprowadza go na błędną drogę samoodurzeń.

Ryczeć o przerodzeniu się polskiej kultury i tworzeniu Polski II to jeszcze mało. Trzeba wiedzieć, lub przynajmniej domyślać się, jak ta Polska będzie wyglądała. Trzeba mieć plan. Odrodzenie kulturalne społeczeństwa może nastąpić tylko w związku z silnym ruchem przeobrażeń strukturalnych. Tego Szukalszczykom brak. I dlatego wychodząc z negacji do haseł twórczych gubią się. Szeplenią coś mistycznego o „rasowości", o pokładach duszy narodu i t. p.

Dziś, kiedy ludzkość coraz bardziej jednoczy się, kiedy niema już problemów wyłącznie wewnątrzpaństwowych, mówić o odgrodzeniu kultury plemiennej nie wolno. Naród, jako całość kulturalna, może być tylko źródłem nowych odrodzeń, czynionych na wspólny rachunek społeczeństw. Maskarada rasowa, przebieranie się za jud, pobrzęki antysemickie itp. zalatujące hitleryzmem zapachy, to najsłabszy punkt Szukalszczyków.

Inna sprawa, że zajmiemy wspólny front w walce z paryzjanizmem, z tym zachodem, który już się zdegenerował. Obelżywą etykietę „Francuzi północy", musimy od siebie odkleić. Sztuka jest międzynarodowa, ale międzynarodowość to nie znaczy Paryż. Zapadają się zgniłe grody, nowe na ich miejsce wyrastają. Niemcy, Włochy, Rosja, a miejmy nadzieję, że i Polską staną się nowemi ogniskami. Punkt ciężkości świata wędruje.

Walka ze sztuką oficjalną, reprezentowaną przez uczelnie, ponosi Szukalskiego. Zamiast użerać się z aktorami, występuje przeciwko teatrowi. Intelektualne zakłamanie, żonglerstwo erudycją, wyjałowioną z pierwiastków energetycznych, absolutny brak pogłębienia myślowego — cechuje elitę stabilizowaną. Ale tylko dlatego, że ludzie ci nie są właściwie elitą. Nie powstało to z mozolnego wyrobienia w pracy zawodowej. Jest dziełem przypadku. Są to wszystko porcnień cy, zdeklasowana, a tworząca kastę masa. Walczyć z ustrojem i systemem wyłaniania elity, ale nie z samem pojęciem. Szukalski zapędza się w pogardzie do mądrości książkowej w ubóstwieniu „chamskich synków", w obsypywaniu obelgami samej umysłowości teoretycznej. Nie wolno. Żądamy nowej, wychowanej na podłożu zawodowem elity. Zdrowy rozsądek to za mało.

Podobnie z uprzedzeniem do pojęcia „talent". Zgoda, sam talent nie wystarcza. Twórcę daje talent + praca. Ale dziś, kiedy świat dochodzi do przekonania, że talent jest potrzebny do spełniania każdej funkcji społecznej, że nie jest tylko jedynakiem estetycznym, niema powodu do zwalczania tego kryterjum w sztuce.

Odwoływanie się do „publiki" nic nie pomoże, bo „publika" w Polsce nie istnieje. Trzeba ją dopiero wychować.

Szczep Szukalszczyków dużo zadatkuje. Czekamy na inwestycje. Ale żeby były celowe, trzeba więcej kompetencji i jej poczucia (choćby umyślne ograniczenie się do pewnego zakresu), więcej świadomości, mniej automatycznego bełkotu. Samopoczucie musi być regulowane autokrytycyzmem.

Wierzymy, że Szczep dzięki wszystkim swoim wartościom istotnym potrafi się otrząsnąć przed narkozą, która mu grozi. Dowodzi to naszej dobrej woli. Bo jednak „Krak" jest bardzo niestrawny. W powodzi żółtej śliny trudno wyłowić budulec. Niemal patologiczny przerost słów, biegunka rynsztokowych kalamburów, nieskrępowana żadnym regulatorem, pasja Szukalskiego — oto, jak się przedstawia pismo. Myślę, że szczep wkroczy wtedy na zupełnie dobrą drogę, kiedy uczniowie wyrosną z zasięgu wielkiego, ale rozchełstanego cienia mistrza. **sj.**

POLONICA

NOWY TŁUMACZ GOETHEGO

Czytamy w „Tęczy" z dn. 29 VIII. r. b.:

„Na urządzonej w październiku w Gdańsku wystawie goethowskiej zwracały ogólną uwagę ilustracje do „Fausta", wystawione w dziale „Goethe a Polska". Tuszowe rysunki w ilości 40-tu, wykonane przez nieznanego dotychczas w Polsce artystę, p. Stanisława Dembińskiego, i stanowiące ilustracje do rękopiśmiennego (!) przekładu obu części tragedji Goetego, również przez wymienionego artystę wykonanego. Słowem, rewelacja! Tłumacz i ilustrator zarazem, poeta i rysownik — i nikt o nim wśród nas nie słyszał"..

Na szczęście obok artykułu znajdujemy reprodukcje plansz i tekściki przekładu. Oto jeden z nich:

„Matko Cierpienia,
Łaską wejrzenie,
Kres połóż burzom ciężkich prób!
W sercu siedm noży
Czując, na boży
Twojego Syna patrzysz trup".

„Zaiste w epoce maszyn piszących trzeba niezwykłego zamiłowania, by coś podobnego wykonać" — powtarzamy za zachwyconym recenzentem, Adamem Czartkowskim.

JAK ŁATWO WYDAĆ JEDEN NUMER

W N-rze 1-ym (i ostatnim) miesięcznika literacko-naukowego „Fala" (Warszawa styczeń 1931) czytamy:

„Nie reprezentujemy żadnego stronnictwa i w sporach politycznych nie będziemy zabierali głosu... Nie reprezentujemy również żadnego kierunku literackiego i t. d.". Więc pocóż panowie, do licha, zabierają głos w sprawach literackich?

Przerzucamy prędko bardzo patrjotyczne artykuły i bardzo kiepskie wiersze, przegląd kin, przegląd czasopism, przegląd teatralny, różne reprodukcje, wśród których dominują akty, w dodatku bardzo klasycznie niewinne. Zamyka numer t. zw. „Humor zagraniczny" — stare kawały, powycinane z pism francuskich, niemieckich i włoskich. Jakaś płynna, bezpłciowa okładka, pewnie z mewami. Okropny, ordynarny, mdły eklektyzm.

I teraz próbka „młodych, utalentowanych piór":

„Niema śniegu, ni zieleni,
Niema nieba, niema ziemi,
Tylko idea w przestrzeni".

Rozumiemy. Taka dziura w próżni. **j. z.**

EX LIBRIS

Zbigniew Grabowski

Ciszy lasu i twojej ciszy....

Przezwyciężywszy niechęć, jaką wzbudza egzaltowany tytuł i motto, gdzie rymują się kobierce — serce, dochodzimy do wniosku, że jest to książka kulturalna i pod wielu względami ciekawa.

Ciekawa, jako przykład deprawacji umysłowej. Intelekt, pozbawiony sam jakiejkolwiek doktryny, staje się tylko narkotykiem potęgującym zmysłowe rozkosze.

Jedynym problemem, interesującym naprawdę pana Grabowskiego, jest miłość w różnych postaciach. Przyjaźń dwóch mężczyzn (oczywiście w sosiku homoseksualistycznym, jakżeby się bez tego obeszło), dzieje ich różnych kochanek i dużo snobizmu „zachodnio-europejskiego" — oto treść lirycznych wynurzeń autora.

Wyznaczanie miłości przez wielkie M, pierwszego miejsca w sferze życia jednostki, kult nieopanowanego uczucia — wszystko to najbardziej typowe objawy kultury i sztuki burżuazyjnej.

Piszą, piszą pismaki o przeszytem sercu i doznają wzruszeń metafizycznych na widok pukla włosów ukochanej. Niechże wezmą do ręki książkę Grabowskiego i zapytają siebie, czy pisarz, który w 1931 roku opiewa swoje malutkie smuteczki, nie przypomina kokoty, robiącej maquillage w kabinie storpedowanego okrętu? **czmił.**

Za Komitet Redakcyjny — Teodor Bujnicki, Kierownictwo artystyczne Tadeusz Godziszewski.

Wydawca Stanisław Mackiewicz

Drukarnia wydawnictwa „Słowa", Zamkowa 2.